

Molestowanie przez prawo

TEATR

Sądy będą oskarżać nawet w niedzielę – ostrzega Krystian Lupa w totalnym „Procesie”. Za długim, jak każde prokuratorskie zatrzymanie niewinnego.

Ryszard Czarnecki z PiS zachwala komisje śledcze. Sędzia (Michał Opaliński) wali młotkiem w stół, a gdy krzyczy, że to, co było zawsze, się skończyło – widownia Nowego staje się wielką polską ławą oskarżonych. Na każdego jest paragraf.

Czarnecki przemawia z telewizora w mieszkaniu wynajmowanym przez Franza K. (świetny Andrzej Kłak) od pani Gruber, która kontroluje moralność sublokatorów. W monumentalnych wizualizacjach sąsiad pilnuje sąsiada. Liszajowata scenografia przypomina ponurą aurę biurokratycznej maszyny CK Austro-Węgier ze spektakli Lupy z lat 80., tożsamą z klimatem zaszczucia w PRL. Powraca jak zmutowany wirus: jednak teraz propaganda władzy nie ukrywa, lecz eksponuje temat podejrzanych. Każdy jest świadkiem, oskarżonym lub pracownikiem aparatu prawa i sprawiedliwości zaplątanym w niewidzialną pajęczą sieć.

Lupa, inscenizując perfekcyjnie koszmarny hiperrealizm Kafki, szuka też metafor. Sędzia, aplikant, woźny i jego żona leżą jak na marach w gigantycznym barłogu, do którego K. przywiązany jest niczym pies. Woźny (Wojciech Ziemiański) nie może nic poradzić na to, że aplikant wykorzystuje jego żonę (Ewa Skibińska), bo seksualność tak jak wszystko w życiu stało się funkcją nowego układu – sądowej ośmiornicy.

Wstrząsająca jest scena Andrzeja Kłaka z Anną Ilczuk, bo podszyta prywatnym dramatem aktorów zwolnionych z wrocławskiego Teatru Polskiego przez dyrektora Cezarego Morawskiego, gdy blokował pracę nad „Procesem”. Jest w niej bezdomność aktorskiej rodziny z dzieckiem, która skutek politycznych procesów tuła się po kraju. Kiedy ona wraca późno z teatru, melodramatyzm muzyki z thrilleru Polańskiego „Frantic” zatruwa niesmak po rewizji i ogólny paraliż. Oni zamiast 500+ mają proces.

Franz K. żyje w kilku wcieleniach. Marcin Pempuś gra jego wyrzuty sumienia. Do mikrofonu szepcze niechciany we Wrocławiu Lupa. Zatrzymanymi są aktorzy wyrzuceni z Polskiego. Woźny odnajduje ich w labiryncie sądowych lochów – skrupowanych, z ustami zaklejonymi czarną taśmą. Odważyli się protestować przeciwko administracyjnej cenzurze. Teraz czeka ich egzekucja. Oto schizofrenia obecnej polityki: staje w obronie rugowanych z kamienic i zwalnianych za poglądy, jednocześnie tworząc nowe zastępy „wyklętych” mścicieli.

Artyści z wrocławskiego Teatru Polskiego dostali w stolicy artystyczną wolność dzięki pomocy Nowego, Studia, TR, Powszechnego. Niestety, żart reżysera o idiocie, który robi długie przedstawienia, o północy przestaje bawić. Wcześniej opowiada o paradoksie bolesnego orgazmu. Może improwizowane sceny drugiego aktu przynoszą nagim aktorom, mówiącym o najpiękniejszej nocy w ich życiu, radość grania. Ale ich wolność obraca się przeciwko widzom, którzy czują mękę, przetrzymywani do drugiej w nocy.

Wyklęci przez władzę aktorzy rozmywiają też siłę oskarżeń przeciwko politykowi, który swoim bólem zainfekował cały naród. A pytanie, czy bezruch poprzedniego okresu nie był fatalny w skutkach także dla artystów, bo dawał fałszywe poczucie rządu dusz, tonie w onanistycznym monologu.

W nocy rozplywa się najmroczniejszy trzeci akt. Z Mecenaszem (Piotr Skiba), który obnaża fikcję prawa i sprawiedliwości sprowadzonych do żonglowania oskarżeniami. A także z Księdzem (Andrzej Szeremeta) w katedrze. Jego kazanie ujawnia metafizyczny szwindel, jakim bywa wywoływanie winy w człowieku przez władzę i Kościół, by odebrać mu wolność.

Biorąc jednak pod uwagę okoliczności powstania spektaklu, proszę Wysoki Sąd o uniewinnienie twórców. Warunkowo, jeśli w trosce o siłę przekazu skrócą całość do długości wrocławskiej „Wycinki”, w której proroczo pokazali, jaki grozi nam proces. ©©

—Jacek Cieślak



♦ Andrzej Kłak gra znakomicie Franza K. Spektakl podczas premiery trwał 6,5 godziny